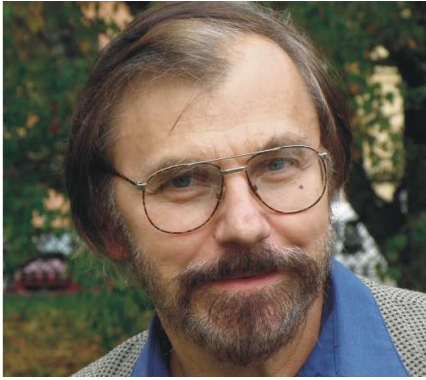


Listy do Pani A. (105)



„Idzie wiosna, ptaszek kwili”

Droga Pani!

Na szczęście mamy już wiosnę. Może to jednak nie dla wszystkich jest szczęście, np. dla drzew, które masowo giną z przyzwolenia ich... obrońców, przynajmniej nominalnego. I – co za tym idzie – dla ptaków i zwierząt. Dziwi mnie głupota ludzi, którzy w ten sposób i samych siebie niszczą. Ale dobrze. Niech się wytracą. I tak jest za dużo głupich i bezwartościowych osobników. I to wszędzie. Ale też dzięki nim mamy nieustający kabaret. Chcą budować stocznice tam, gdzie od stworzenia świata nie było wody, chcą pisać prośby o audycję w oratorie u pani krowy, co dotyczy również psów i kotów, choć one mają zupełnie dla nas nieczytelny alfabet i nie będą pisać podań w języku człowieka. Kretyni biorą się za wody śródlądowe, co zniszczy środowisko naturalne. Idioci chcą przegnać ptaki, bo one... zanieczyszczają parki. To najlepiej z rzek zrobić asfaltowe autostrady, powycinać całą zieleń, postawić sztuczne drzewa, a zamiast ptaków puszczać drony. Helikoptery z tektury już podobno mamy. Poddają pomysł z dronami kacykom pewnego miasteczka całkiem za darmo. Absurdów u nas jest obecnie więcej niż kiedykolwiek, ale „rząd” działa. I z drugiej strony dobrze. W innych okolicznościach nie powstałoby zabawne „Ucho prezesa”. Co najwyżej... inna część kadłuba.

Dla oczyszczenia się z codziennego szlamu dobrze przenieść się do przeszłości. Może również nie była taka słodka, ale na tle wydarzeń dzisiejszych wydaje się, że bezpieczniejsza, stabilniejsza, mniej głupia, choć – jak to w Polsce – absurdów nie brakowało. Robiłem gruntowne porządki wśród swoich rzeczy i książek. Zaglądałem do pism z lat sześćdziesiątych, do książek z tamtego okresu, do własnych wczesnych publikacji. Przeglądałem dawne zdjęcia, aby to wszystko ułożyć na nowo. Tak otworzyłem dawno umarły świat. Czuję się trochę jak na własnej ekshumacji przeprowadzanej przez samego siebie. Przecież już tyle minęło lat, a w czasopiśmie, fotografiach i książkach ten czas przetrwał.

Zaczęłam oglądać zdjęcia zamieszczone w „Księdze o nagrodzie imienia Włodzimierza Pietrzaka 1973–1977”, opracowanej przez

zespół redakcyjny pod kierownictwem Zygmunta Lichniaka. Wiele tu osób, które dobrze znałem. Między innymi: Michał Rusinek, Jan Dobraczyński, Stefania Skwarczyńska, Zbigniew Dolecki, Henryk Jerzmański, Maria Szybowska, Wojciech Janicki, Janusz Stefanowicz... Osobno wspomnę panią Marię Bocheńską. Została uwieczniona na fotografii zrobionej podczas uroczystości wręczenia 27. Nagrody Włodzimierza Pietrzaka w 1974 roku. Siedzi w pierwszym rzędzie.

Panią Bocheńską znałem wcześniej, kiedy była przewodniczącą Komitetu Rodzicielskiego w moim Liceum Św. Augustyna. Przemiała, pełna uroku i kultury osobistej, piękna dama. Łatwo nawiązywała kontakt z uczniami. Bardzo ją lubiłem i ceniłem. Kilka lat później pracowaliśmy razem w Instytucie Wydawniczym Pax. Pamiętam szczególnie jedną rozmowę, taką zupełnie „praktyczno-codzienną”. Otóż zostałem szczęśliwym posiadaczem limuzyny marki syrena 105. Był to samochód dosyć awaryjny, więc obawiałem się, że – zwłaszcza podczas dłuższych wyjazdów urlopowych – nagle zepsuje się w drodze. Wtedy nie było takiej sieci warsztatów, a o telefonie można było pomarzyć. Z tych swoich, nieco histerycznie wyrażanych, obaw, zwierzyłem się raz pani Marii, która także miała syrenę. „Czego pan się boi?” – usłyszałem. „Że utknę gdzieś po drodze; że przegub się może rozlecieć...” – niemal zapłakałem. „Mnie się nieraz rozleciał” – odrzekła z mocą pani Maria. Spojrzałem na nią z niedowierzaniem. „Tak, tak. Spychałam auto na pobocze, rozkładałam kocyk, brałam narzędzia i wymieniałam. To nic takiego. Pan by też potrafił”. Patrzyłem na panią Bocheńską wielkimi oczami i z nieustającym podziwem. I zaraz lżej mi się na sercu zrobiło.

Książki... fotografie... urywki wspomnień..., przypomnianych zdań... Podczas układania rzeczy na nowo zostały uwolnione. Stąd ów nastrój nieco nostalgiczny, może w czasie wiosenno-świętecznym niestosowny. Ale co ja na to poradzę?

W nieco innym nastroju przebiegał w warszawskim Klubie Księgarza jubileusz osiemdziesiątych urodzin Marka Wawrzkiwicza. Jednak przynam się Pani, że i tu wpadłem w nastrój lekko nostalgiczny. A właściwie wprowadził mnie Andrzej Zieniewicz przywołujący w swoim wystąpieniu cienie odeszłych kolegów: Andrzeja K. Waśkiewicza, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Jerzego Górzkańskiego, Zbigniewa Jerzyny, Janusza Żernickiego... Poeci co najmniej o dekadę starsi ode mnie, ale to i moi przyjaciele, mentorzy; komilitoni – jakby powiedział nieodżałowany Zygmunt Lichniak. Znowu trudno się oprzeć gorzkiej refleksji nawet w tak radosnym i optymistycznym dniu, jak urodziny Marka.

Uroczystość zainaugurowała znakomita Joanna Rawik „Życzeniem” Chopina do słów Stefana Witwickiego. (Tu zwierzenie tylko dla Pani: jako sklerotyczny matuzale miałem przed chwilą wątpliwość, czy nie śpiewała „Gdybym to ja miała...”, ale pomyślałem, że po co miałaby lecieć z Klubu Księgarza aż „do Śląska”! I uspokoiłem się, że jestem na dobrej drodze).

Andrzej Ferenc świetnie interpretował wiersz Marka. Potem czytano listy gratulacyjne, Rafał Skąpski wręczył Markowi medal Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek. Jubilat

otrzymał też od marszałka Struzika medal Pro Mazovia.

Nastrój stał się jeszcze bardziej pogodny po minirecitalu Bohdana Łazuki, któremu akompaniował na fortepianie Czesław Majewski. Muszę też polecić Pani książkę o Marku Wawrzkiwiczu „Mogło być gorzej” zredagowaną przez Jana Cichockiego, Agnieszkę Tomczyszyn-Harasymowicz oraz Andrzeja Żora. To zbiór recenzji, felietonów, szkiców, anegdot poświęconych Jubilatowi. Są tam również zdjęcia z lat dawnych i współczesnych. Znako-mita, ciekawa rzecz.

A potem życzenia. W imieniu kieleckiego środowiska literackiego przemówił Staszek Nyczaj. Oryginalne od Aldony Borowicz. Przypomnę Pani, że Aldona miała zwyczaj pożyczania zapalniczek od Prezesa Marka, które niepostrzeżenie i bezpowrotnie ginęły w przepastnych czeluściach jej torebki. To przeszło już do legendy. A teraz składając Markowi życzenia dała mu w upominku... cały woreczek zapalniczek, „rekompensując” swą notoryczną dystrakcję. Oczywiście, wzbudziło to wesołość zebranych, zwłaszcza tych, którzy doskonale się orientowali w czym rzecz.

Marek potem zabrał głos, jako Najważniejsza Osoba Wieczoru. Mówił trochę lirycznie, trochę nostalgicznie, przyznał, że absolutnie nie odczuwa wieku metrykalnego. Trochę i o poezji, która – jego zdaniem – powinna być prosta, chwytająca za serce i rozumiała dla każdego, jak wiersz, który zacytował: „Idzie wiosna, ptaszek kwili, może byśmy coś wypili”. I zaprosił zebranych do „sali obok”, które to wezwanie zostało entuzjastycznie przyjęte.

Tak zaczęła się towarzyska, mniej oficjalna część spotkania, choć tam, gdzie jest Marek Wawrzkiwicz trudno mówić o oficjalności, bo wszystko się odbywa z humorem wysokiej próby, na tak zwany luzie.

Z radością zobaczyłem, że obecny jest na jubileuszu Aarne Puu, Estończyk od lat mieszkający w Krakowie, świetny poeta, pracownik naukowy UJ. Powspominaliśmy trochę dawne czasy, nasza rozmowa skrząła się dowcipem, kalamburami, komentarzami do zaobserwowanych sytuacji. Aarne ma duże poczucie humoru, zbliżone do mojego. Spotkałem też Ewę Zelenay, Andrzeja Tchórzewskiego, Piotra Dumina, Annę i Zbyszkę Milewskich, Andrzeja Żora, Adama Marszałka, Józefa Tejchmę, Kazimierza Kocharńskiego, Krysiek Konecką, Leszka Żulińskiego, wspomnianego Staszka Nyczaję i wielu innych.

Bardzo przyjemna, powiedziałbym: oczyszczająca impreza. Pozwoliła mi znowu odechnąć tamtą, dawniejszą i zdrowszą atmosferą artystyczną. Poczuję się lepiej. A może już się starzeje? Chociaż, podobnie jak Marek, nie odczuwam wieku metrykalnego. Wszystko jest jak dawniej, przynajmniej ulegam takiej iluzji.

Trudno jej nie ulegać, skoro przyszła wiosna, „budzi się do życia całe przyrodzenie”, jak napisał (nie wiadomo czy z autopsji) pewien poeta. W każdym razie cała aura przypomina nam o Świętach Zmartwychwstania. Wobec tego życzę Pani wiele pogody oraz nadziei –

Stefan Jurkowski

